

TEMAT ŁEMKOWSKI

Łemko z Florynki, Jarosław Zwoliński, znany mi osobiście, napisał dwie książki: *Na Łemkowszczyźnie. Florynka (nasze seło)* (Koszalin 1999) i *Rapsodia dla Łemków* (Koszalin 1994). Pierwszy raz, gdy łemkowską „Watrę” zorganizowano w Żdych, wybrałem się tam z dawnym sąsiadem, Łemkiem Romanem Chomiakiem (z Wawrzki rodem), mieszkającym wtedy (podczas pierwszej „Watry”) w Wysowej, autorem innej książki o Łemkach: *Nasz łemkowski los* (Nowy Sącz, 1995). Kiedy po nabożeństwie w cerkwi w Żdych spotkali się sąsiedzi Zwoliński i Chomiak (Wawrzka należy do Florynki jako przysiółek), wtedy Roman Chomiak przedstawił mnie Zwolińskiemu. Drugi raz Zwolińskiego spotkałem w Ruskiej Bursie w Gorlicach podczas Łemkowskiej Jesieni Poetyckiej w 1998 r. (był też podczas tej jesieni w szkole w Kunkowej, gdzie późnym wieczorem odbyła się pierwsza część tego wzruszającego spotkania poetów Łemków z Polski, Węgier, Słowacji i Ukrainy). Dodam jeszcze, że na to spotkanie w Kunkowej zaprosił mnie telefonicznie redaktor II programu TV z Warszawy, który dowiedział się, że dość dobrze tkwię „w temacie łemkowskim”.

Nieżyjący już Roman Chomiak to dawny nasz sąsiad (z moją matką Katarzyną chodził do jednej klasy w szkole w Wawrzce z tej racji, że do szkoły w Ropie było aż 5 km drogi i w jednej klasie uczyły się dzieci ruskie z Wawrzki i polskie z Ropy i Kąclowej). Przyjaźnił się z moim dziadkiem, Tomaszem Janigą (razem organizowali polowania, interesowało ich pszczelarstwo i sadownictwo). Na Wawrzce brak było wody. Jedna studnia, gdzie wody nie brakowało – „Pod Jaworem”, nie wystarczała dla całej wsi, toteż Roman Chomiak jeździł koniem po wodę do Bucznika, do mojego dziadka. Opowiadał, że pewnej zimy, gdy drogę zawiąło, dziadek pomagał mu nalać wody, co mu przez wiele lat pamiętał, bo tak był zszokowany przewidywaniem, że do domu nie wróci po zaspach. Dziadek

często odwiedzał Łemków z Wawrzki, chodził do nich na wieczorne pogaduszki, toteż babcia Maria żartem mówiła „weź sobie jeszcze łóżko ze sobą na plecy, to tam zanocujesz”. Pod koniec wojny i po wojnie trudno było o bieliznę i ubrania (fabryki były podczas wojny niszczone), a moja matka trudniła się dorywczo krawiectwem. Szyła dla sąsiadów i Łemków z Wawrzki. Do mnie należało odniesienie uszytych rzeczy na Wawrzkę. Za każdym razem sąsiedzi Łemkowie niezwykle serdecznie mnie przyjmowali (częstowali, gościli smażoną słoniną, jajecznicą, chlebem razowym i gorącym, przegotowanym mlekiem). Mówili do mnie po polsku i łemkowsku. Dla mnie było to tak naturalne (że są innej narodowości) jak to, że każdy sąsiad ma inne imię i nazwisko. Tu tkwi naturalne źródło mojej tolerancji (powiem więcej: szacunku) dla innych narodowości. Nie w sąsiedztwie i nie w rodzinie, ale na lekcjach historii w szkole dowiedziałem się o tym, że mogą być uprzedzenia narodowościowe, szowinizmy, nacjonalizmy, brak tolerancji dla innych (eksterminacja Żydów itp.). To wynalazek szatana nie z naszej gorlickiej ziemi.

W 1947 roku wysiedlono naszych sąsiadów Łemków. Roman Chomiak w książce *Nasz Łemkowski los* na str. 45 tak wspomina: „*Jak my opuszczali swoje domy, ludzie płakali, całowali ziemię, a ja poszedłem przed naszą cerkiew i klęknąłem na progu cerkwi, bo już była zamknięta i prosiłem Boga, żeby mnie obronił od dalszego prześladowania. O obozie Jaworzno jeszcze my nic nie słyszeli.*”

Wychodzimy na sołtystwo, czyli na koniec wsi, przyszły trzy dziewczyny Polki z wioski Ropa, Janiżanki, pożegnać się z nami, bardzo płakały, że nas taka niesprawiedliwość, taki zły czyn spotkał. One chodziły, jak i inne polskie dzieci do naszej szkoły, przychodziły na zabawy. Kasi Janiga syn, Marian Janiga, często pisze w gazecie gorlickiej o mnie i o naszych Łemkach bardzo przyjaźnie, jak pan profesor Janiga nazywa ciepło”.

Byłem pożegnać sąsiada Romana Chomiaka, gdy zmarł (pogrzeb w dniu 11 lutego 2000 r.). Byłem w cerkwi prawosławnej na Zawodziu w Gorlicach (ul. Brzechwy 2) podczas uroczystości pogrzebowych i na nowym cmentarzu w Gorlicach. Jakież było moje zażenowanie i zaskoczenie, gdy w cerkwi podczas uroczystości pogrzebowych prowadzący nabożeństwo ksiądz prawosławny przytoczył przed chwilą zacytowany fragment książki jako dowód, że stosunki międzyludzkie mogą być serdeczne i dobre, niezależnie od przynależności narodowej. Wymienił moje nazwisko w obecności zgromadzonych. Wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą, choć tak naprawdę mało kto mnie znał.

Nigdy nie byłem w Malczycach na Ziemiach Zachodnich za Wrocław

wiem, w okolicach Brzegu Dolnego. Ale wiem, że w te okolice zostali wysiedleni Łemkowie z Banicy powiatu gorlickiego. Był wśród nich Dymitr Korbycz, zamieszkały teraz w Proszkowie, a w Malczycach spełniający rolę diaka, psalmisty. Cerkiew w Malczycach jest pod wezwaniem Zwiastowania Najświętszej Marii Panny. Budynek, w którym mieści się cerkiew, wzniesiono przed stu laty. Był świątynią ewangelicką. Zaprojektował ją jeden z najlepszych niemieckich architektów, Pelzig. Wysiedleni stąd Niemcy zabrali dzwony na barcę. Barka zatонуła na Odrze. Łemkowie w latach 50. wydobyli z rzeki trzy dzwony i zawiesili w cerkwi. Ikonostas przywieźli z Lubelszczyzny (wzięli z Urzędu Bezpieczeństwa pozwolenie na wyjazd po ziemniaki; oprócz ziemniaków przywieźli także ikonostas). Pierwsze nabożeństwo w cerkwi w Malczycach odprawiono 8 czerwca 1950 roku.

Proboszczem tej parafii prawosławnej od 1985 roku jest Michał Szlaga, Łemko urodzony w Przemkowie. Jego parafianie – 46 rodzin – mieszkają w Malczycach, Proszkowie, Środzie Śląskiej, Szczepanowie, Rzeczycy i Wilczkowie. Niektórzy dojeżdżają do cerkwi nawet ponad dwadzieścia kilometrów. Malczyccy parafianie ojca Michała to prawie cała była wieś Banica, wysiedlona podczas akcji „Wisła” w 1947 roku. Diak Dymitr Korbycz opowiada:

„Mój tato i mama Rusyny. Ja także Rusyn. Urodziłem się 9 maja 1914 roku w Śnietnicy w powiecie gorlickim. U nas we wsi była cerkiew, ale greckokatolicka. Do 1928 roku byliśmy unitami. Ciężko nam było z tymi greckokatolickimi księżmi. Oni mieli szmat ziemi, lasy, zajmowali się handlem. A kto dla nich pracował? My – Rusyny. A na kazaniach, w cerkwi, mówili do nas: wy psy, wy świnię... Ci księża nie byli ani Rusynami, ani Rosjanami, ani Polakami. Oni nas Rusynów – Łemków mieli w pogardzie. I o to wszystko chodziło.

Gdzieś około 1928 roku pojawiła się u nas myśl o powrocie do prawosławia. Trzech naszych ludzi przeszło się z zeszytem po wsi. Pisał się na prawosławie, kto chciał. Wtedy w Śnietnicy do prawosławia powróciło 50 rodzin.

Ja mając 14 lat cały dzień szedłem przez góry do Grabia, do cerkwi po chorągwie. Z tymi chorągwiemi wracałem w nocy i cieszyłem się na to nasze prawosławie.

W 1928 roku pojawił się pierwszy świąszczennik prawosławny – Dymitr Kost. Ale grekokatolicy nas do cerkwi już nie wpuścili. My im odpowiedzieliśmy budową swojej cerkwi. A na początku modliliśmy się na dworze, pod gruszką. Śmiali się z nas: O, to ci, co modlą się pod gruszką! A ja już zacząłem śpiewać w chórze cerkiewnym.

Po jakimś czasie zmarł nasz parafianin. Był to jeden z tych, co zbierali podpisy przy powrocie do prawosławia. Jest pogrzeb. Idziemy z choruhwiami, krzyżem i śpiewem na mogiłki. Przed bramą cmentarną stoją żandarmi z karabinami i ksiądz grekokatolicki. Mówi do nas: „Nie wpuścimy was tu. Prawosławnym nie wolno chować swoich zmarłych na tym cmentarzu”. Batuszka Kost zwraca się do swoich wiernych: „Pomodlimy się. Odstudzimy czyn pohriebienja i zostawimy trumnę pod murem cmentarnym”. I tak zrobiliśmy. Tamci nie wiedzieli, co zrobić. Postawili przy trumnie stróża. W końcu pozwolili nam złożyć ją do grobu na tym cmentarzu. To były takie ciekawe, ale smutne historie. Dziś już mało kto o nich pamięta.

Nienawiść ze strony grekokatolików była do nas wielka. Najłagodniejszym wyzwiskiem na nas było słowo „Moskał”. Ale, dzięki Bogu, nie daliśmy się. Pobudowaliśmy drewnianą cerkiew św. Dymitra Sołuńskiego i modliliśmy się w niej.

Nas w rodzinie było czterech braci i siostra. Siostra mając osiemnaście lat zmarła. Była na służbie u księdza grekokatolickiego. Nosiła na sprzedaż do Krynicy wyroby mleczne z gospodarstwa księdza. Przeziębila się, dostała zapalenia płuc i nie przeżyła choroby.

Brat Wasilij wyjechał w 1928 roku do Kanady. Iwan był krawcem, a Filimon przejął po tacie gospodarstwo. Mieliliśmy siedem hektarów ziemi. Ożeniłem się z dziewczyną z Banicy. To było już w czasie 2 wojny światowej. Pracowałem wtedy w lesie. Sortowałem ścięte drzewa na kopalniaki, składy, londyny... 28 sortów tego było. Niemcy straszili kulą w łeb za złe drewno. A ja starałem się dawać gorsze pod wyrąb, bo szkoda mi było naszych łemkowskich drzew, ale, jak wiadomo, Niemcy nie byli tacy głupi, żeby ich można było stale oszukiwać.

Odeszli Niemcy, przyszła ukraińska partyzantka. Pracuję wciąż w lesie. Robię to, co robiłem wcześniej. Drewno potrzebne zawsze – w czasie wojny i pokoju. Moi dwaj bracia – Iwan i Filimon, a także rodzice – wyjechali na Ukrainę. Przysyłali stamtąd listy. Z ich treści zrozumiałem, że lepiej tam nie wyjeżdżać. Odwiedziłem ich dopiero w 1975 roku. Rodzice pomarli. Jeden brat pracował w kopalni, drugi w składzie olejarskim. Mieli swoje domy i dacze. Nie narzekali na swój los.

No, ale do Banicy, gdzie żyliśmy z żoną, zaraz po wojnie przychodzą partyzanci ukraińscy – UPA. Ale kto wiedział, kim naprawdę byli? Wieczorem przychodzili, brali co było do zabrania, mówili po ukraińsku. Rano byli, zdaje mi się, ci sami, ale już w mundurach polskiej armii. Mówili po polsku. Pytali o partyzantów ukraińskich. Odpowiadałem im stale: „Nie wiem kto był. Moja polityka to żona, moje dziecko i praca

w lesie". Wtedy u nas tak było, że i Salomon miałby trudność z rozwiązaniem tego węzła. Pewnego razu wojsko polskie szykowało się do bitwy w lesie koło Banicy. Porucznik stanął na stole w naszym domu, wydaje rozkazy, a ode mnie żąda: „Pan pójdzie z nami do lasu i zaprowadzi nas do partyzantów”. Żona, która była w ciąży, rozptakała się. Żołnierz ją uderzył w twarz. Ja zaczęłam krzyczeć: „Tego już nie zniosę!” Oficer wszystkich uspokoił a mnie zostawili w spokoju. Żołnierze poszli w las. Strzelanina była straszna. Zaszedłem do stodoły po siano. Kula mi przeszła koło ucha. Po kilku godzinach wszystko ucichło. Wojsko polskie wiozło na furmance zabitych i rannych żołnierzy. Otworzyłem im szafę. Zabrali nam wszystkie płótna, pościel, poduszki i pierzyny. Po tygodniu, poszane i pokrwawione, oddali. A potem było to nasze wygnanie.

Mieliśmy dwie godziny na przygotowanie się do wyjazdu. Założyłem krowy do wozu i pojechaliśmy. Po drodze do Grybowa Polacy nas okradli. Z Grybowa kazano nam jechać do Gorlic. Co my w tym czasie przeżyli to jedynie Pan Bóg wie.

Na stacji w Gorlicach, czekając na transport, sprzedałem za grosze dwie owce, bo nie wiedziałem, co z nami będzie. W jakiś czas potem patrzę, dwaj milicjanci prowadzą moje owce i człowieka, który je kupił ode mnie. Jeden z milicjantów: „Oddaj pan pieniądze i zabieraj owce. Nie trzeba sprzedawać za bezcen. One jeszcze wam się przydadzą”. I tak było. Na Zachodzie owieczka okociła się i miała aż troje jagniątek. Do dziś zachowałem w dobrej pamięci tamtego milicjanta.

Do Środy Śląskiej jechaliśmy wagonami z bydłem przez dwa tygodnie. Potem skierowali nas do Szczepanowa. Tam wyładowali nas i otrzymaliśmy skierowanie do PGR Proszków. Wędrujemy przez wieś z dobytkiem. Zatrzymaliśmy się z krową przy płocie i doimy ją. Wychodzi przed dom gospodyni i krzyczy do nas: „Wy skurwysyny Ukraińcy! Wyście mojego syna zamordowali”. Było nam przykro, bo staraliśmy się żyć tak jak Pan Bóg przykazał. Żona mówi do mnie: „My tu przepadniemy”. Ale do tego nie doszło. Widocznie Bóg miał nas w swojej opiece. Stale nazywali nas w pegeerze: ludzie z lasu, bandziory, mordercy... I trzeba było cierpieć i nic nie odpowiadać.

Po dwóch latach ciężkiej pracy kupiliśmy dom i gospodarstwo w Proszkowie. Zaczęliśmy chodzić do kościoła rzymskokatolickiego, bo cerkwi nigdzie w pobliżu nie było. I oto umiera nam na zapalenie płuc ośmiomiesięczna córeczka. Idę ja do księdza rzymskokatolickiego w Środzie Śląskiej. Ksiądz Kij się nazywał. Mówię: „Proszę księdza, dziecko mi zmarło, trzeba je pochować. Ksiądz chętny do pochówku. Ale zaraz pyta

o wyznanie. „Prawosławny” – mówię zgodnie z prawdą. Ksiądz na to cały w złości: „Pogrzebu w kościele nie będzie”. Ja do niego: „Czyż prawosławny to nie człowiek?”. Ksiądz jeszcze bardziej zły: „Człowiek, ale inny”.

Tak my się starli na plebanii. Ale w końcu, po kłótni stanęło na tym, że ksiądz pokropi w kościele, ale na cmentarz nie pójdzie. Schodzę ja po tej kłótni z piętra na dół. Patrząc, pod schodami stoi inny ksiądz. Z oczu kapią mu łzy. Pyta mnie cichutko: „Skąd wy?” Ja odpowiadam też cicho: „Ze Śnietnicy”. Ksiądz jeszcze ciszej do mnie: „A ja Łemko ze Żdychi”.

Trzeba wiedzieć, że w Żdychi urodził się ojciec Maksym Sandowicz, prawosławny świaszczennik. I on oddał swoje życie za prawosławie. W 1914 roku rostrzelali go Austriacy w Gorlicach bez sądu. Kilka lat temu nasza cerkiew kanonizowała ojca Maksymilianiana. Teraz jest on naszym świętym. A ten Łemko ze Żdychi pod schodami jak najciszej dodaje: „Panie, nas tu mają oni za psów!”

Do śmierci będę pamiętał te łzy w oczach księdza ze Żdychi. Przeżyliśmy to wszystko. Obchodziliśmy smutną pięćdziesiątą rocznicę naszego wygnania z gór. Nie daliśmy się i wielkiej powodzi. Żyjemy po Bożemu i bez długów.

Mamy z żoną córkę i dwóch synów. Jeden z nich jest starostą przy cerkwi w Malczycach. A ja, gdy zachodzę do cerkwi, od razu robi mi się lepiej na duszy. Chce się żyć.

W każdą niedzielę diak Dymitr Korbycz, włożywszy do teczki stary Psalter – księgę z psalmami króla Dawida i porządkiem liturgicznym, podąża do cerkwi w Malczycach. Mówią w Malczycach, że mają w cerkwi dzwony na górze i jeden w dole. Ten w dole to głos Diaka Dymitra Korbycza”.

Taki sam głos jak dzwon ma znany lemkowski poeta z Krynicy, Piotr Trochanowski (Petro Murianka). Od 1982 roku pracuje jako dyrygent chóru cerkiewnego w Krynicy. Słyszałem jego głos na pogrzebie Romana Chomiaka w cerkwi na Zawodziu Gorlic i na cmentarzu. Podczas Łemkowskiej Twórczej Jesieni w Kunkowej w 1998 roku wręczył mi książkę *Mamko kup mi kniżku. Antologia ditocznoi poezji* (Nowy Sącz 1985 r.) pod jego redakcją z taką oto dedykacją: *Panu Marianowi Janidze z wiarą, że zawsze pozostanie wierny lemkowskiemu bólowi i tęsknocie – Piotr Trochanowski.*

W 1984 roku na łamach „Dunajca”, tygodnika ukazującego się w Nowym Sączu (nr 1617 na str. 7) zamieściłem wiersz pt. *Żdychia*, który w tym miejscu przytoczę:

Gdy mi w Żdyni słowo „miłość” wykrzykniesz
 To echo zza gór odpowie ci „łaska”.
 Hospody pomituj nad łemkowskim cmentarzem
 Pop ci do cerkwi roztworzy wrata
 Snop ciszy wisi nade wsią
 Wilk młody kluczy pod lasem
 Jeleń na wiosnę zrzuci tu rogi
 Tu wrona nie kraczy
 I sroka nie skrzeczy
 Jałowcem majone Podlasie.

Po kilku dniach otrzymałem z Krynicy od innego łemkowskiego poety, Władysława Grabana, list tej treści:

Krynica, dnia 13 IV 1984 r.

Szanowny Panie!

Jestem stałym czytelnikiem „Dunajca”. Czytam także Pańskie publikacje, które się w tym tygodniku ukazują. Właśnie w numerze świątecznym miałem okazję przeczytać Pański wiersz. Po przeczytaniu tekstów powziąłem decyzję napisania listu, na gorąco. Wiersz pod tytułem „Wieś” jest wspaniały, mimo kilku zdań w jakich się zamyka jego treść. Natomiast do wiersza „Żdynia” miałbym uwagi. Robię to nie dlatego, że wiersz miałby się mi nie podobać, lecz dla wyjaśnienia pewnych nieścisłości. Proszę mi wybaczyć za ingerowanie w nie swoje sprawy. Chociaż niezupełnie... gdyż jestem Łemkiem...

Nie jest istotne, że za Żdynią jest jeszcze przed pasmem granicznym Konieczna, ale fakt, że ze strony słowackiej na słowo „miłość” nie odpowie echo „łaska”, gdyż tam nie mieszkają Czesi ani Słowacy a Rusini. Tacy sami Łemkowie jak ja i wielu innych, zamieszkujących w Sądeckiem i nie tylko. Rusini ci nie byli wysiedleni w okresie powojennym, stąd zamieszkują zwartymi grupami pasy północno-wschodniej Słowacji od Svidnika przez Bardyjów po Starą Lubywnię. Jeżeli zabawić się w drobiazgi, przytoczę też inne nieścisłości: Hospody pomituj, winno być Hospody pomytuj, ale to nie jest takie istotne. W terminologii łemkowskiej nie używa się słowa pop (oznacza ojciec), pochodzenia rosyjskiego. Określenie to było na łemkowszczyźnie pogardliwym nazwaniem księdza. Zastanawia mnie fakt, dlaczego wszyscy cerkiew łemkowską kojarzą z rosyjską a nie z bułgarską, grecką, rumuńską czy ukraińską? Jak zaznaczyłem, nie używano słowa pop, a... świaszczennik lub jehmość, otec duchownyj, lub często... ksiądz. Do cerkwi wchodziło przez drzwi, które mieściły się pod najwyższą wieżą u przedstonka babińca.

„Carskie wrata” czyli drzwi królewskie wkomponowane w ścianie ikon – ikonostasie miały określone funkcje.

Proszę mi wyjaśnić (jeżeli można) dlaczego „tu wrona nie zakracze i sroka nie zaskrzeczy”. Nie jest to pytanie złośliwe! Czy w ten sposób chciał Pan przedstawić martwą, wyludnioną (a może wystraszoną) wieś. Ja także odrobinę zajmuję się niby poezją, przesyłam Panu kilka moich wierszyków.

Jeszcze raz proszę nie traktować mego listu jako nalot na Pańską osobę lub krytykę. Są to tylko moje uwagi. Cieszę się, że ktoś się jeszcze zajmuje „tematem lemkowskiem”. Obawiam się jednak czy aby to nie tylko... moda na tego typu sprawy!

Przesyłam najlepsze pozdrowienia oraz życzenia świąteczne (święta wielkanocne mamy w tym samym czasie, choć w języku lemkowskiem i nie tylko nazywają się „Welygden” – wielki dzień, a nie wielka noc). –

*Z poważaniem –
Władysław Graban*

Tak nawiązaliśmy listowną listowną znajomość, a osobiście poznałem Władysława Grabana (ur. w Samborzu k/Wrocławia, zamieszkał w 1961 roku w Gładyszowie wraz z rodzicami, a od 1978 w Krynicy) na wspomnianym już spotkaniu poetów podczas Łemkowskiej Twórczej Jesieni w Kunkowej. Podarował mi swój tomik poetycki pt. *Rozsypane pejzaże*, (Stary Sącz, 1995 r.) z następującą dedykacją:

Panu Marianowi Janidze z podziękowaniem za serce dla Łemków – autor

*Władysław Graban
Kunkowa, 17. 10. 1998 r.*

Czy może być piękniejsza dedykacja? Dla mnie jest to dowód najwyższego uznania.